

ŁUDZIE OD SZCZURÓW

IGOR GRUDZIŃSKI



SEQOJA

LUDZIE OD SZCZURÓW

IGOR GRUDZIŃSKI

SCQQA

Redakcja

ELŻBIETA KUSZMIDER

Korekta

KATARZYNA KRZAN

Okładka

KAJA DOBRZAŃSKA

Ilustracje na okładce

ALEKSANDRA CZUDŹAK

Skład

KATARZYNA KRZAN

Przygotowanie do druku, nadzór artystyczny

ZOFIA STYBOR

Druk i oprawa

Bookpress.eu

Copyright © by Igor Grudziński 2026

Copyright © for this edition by

Wydawnictwo Seqoja 2026

ISBN: 978-83-67935-57-9

ISBN e-book: 978-83-67935-60-9

Wydawnictwo Seqoja

ul. Żołnierska 11B/20, 10-558 Olsztyn

tel. 534 834 852

e-mail: info@seqojawydawnictwo.pl

www.seqojawydawnictwo.pl

Olsztyn 2026

wydanie I

– Przysięgam, że tak właśnie było! Nocą na miasto zaczęły spadać ciała. Najpierw usłyszałem huk, zupełnie jak grzmot błyskawicy! Podbiegłem do okna, spojrzałem w górę i zobaczyłem szczątki zwisające z krawędzi dachu. Dwie nogi dyndały tuż nad moją głową. Czyżby to jakiś upadły anioł przysiadł na gzymsie? Przeraziłem się. Po chwili nastąpiły kolejne odgłosy. Niektóre blisko – gwałtowne, okropne, ciężkie – inne dalej, niczym pierwsze krople mającej nadejść burzy. Te ciała – ludzkie ciała! – leżały później na ulicach. Spadły ich chyba setki! Wraz z okropnym smrodem i czymś, o czym wtedy jeszcze nikt nie miał pojęcia. Wszędzie pełno krwi, wnętrzności i ropy. Bóg mi świadkiem, że to pierwsze wspomnienie, jakie noszę w głowie.

*

Zajrzał do wewnątrz.

*

Przy stole na środku izby siedzieli trzej mężczyźni, jeden z głową na blacie. Wszystkie pozostałe miejsca w karczmie były puste, jakby porzucone w pośpiechu. Na podłodze wały się opróżnione kielichy, w powietrzu unosił mdły zapach rozlanego piwa, ludzkiego potu, a także – nie dało się oszukać węchu – szczyń. Chwila ciszy w rozmowie, gdy postacie zamilkły i po ostatnich słowach zastygły w bezruchu, najwyraźniej rozmyślając nad czymś intensywnie, nadała owemu miejscu podobieństwo do ponurej inscenizacji. Tylko iskrzące się ślepie kota, siedzącego

na belce biegnącej w poprzek sufitu, świadczyły o obecności życia. Podobieństwo prysło, gdy jeden z mężczyzn odchylił się na krześle i, jakby wracając do urwanego wątku, przemówił:

– No bo jeśli Bóg jest sprawiedliwy i w dniu Sądu Ostatecznego...

– Wybacz, ale zaczynasz mnie okropnie nudzić – wtrącił się drugi.

– ...w dniu Sądu Ostatecznego – kontynuował pierwszy, tym razem cedząc przez zęby – zbierze wszystkich i dokona tego, no, rozrachunku, to będzie to niesprawiedliwe. Bardzo niesprawiedliwe. Spójrzy na nasze życia i zabierze się do selekcji: ty grzeszyłeś, ty nie grzeszyłeś, ty grzeszyłeś czasem. Ale to on, to znaczy Bóg, decyduje, kiedy następuje koniec świata i tym samym niektórym szubrawcom odbiera możliwość odkupienia win na ziemi. Znasz mój żywot, świętoszkiem nie byłem.

– Gdybym miał po jednej stronie szali położyć twoje życie, a po drugiej wóz pełen końskiego gówna...

– Dobrze, nie kończ.

Trzeci mężczyzna podniósł głowę – dopiero teraz można było poznać, że jest najmłodszy z całej grupki – i uśmiechnął się odsłaniając nierówne, wybrakowane, podobne do skalistego wybrzeża uzębienie i ponownie skrył ją w uwitym z ramion gniazdku.

– Ale kto wie, może za miesiąc bym się zmienił? Może już do kresu swego istnienia miłowałbym tylko dobro i gdyby Bóg postanowił zagrznieć w te swoje trąby nie teraz, a za kilka lat, to uznałby, że ma przed sobą duszę godną pochwały i zbawienia! – Kończąc tę wypowiedź pierwszy mężczyzna uniósł ręce w dziękczynnym geście.

– Nie musisz się wysilać. Nie słucha cię. A nawet jeśli, to z pewnością jest pod wrażeniem twojej bezczelności.

– Jeśli Bóg naprawdę potrafi zajrzeć w głąb człowieka i nawet w najgorszym zbrodniarzu odnaleźć ostatni sznureczek miłości, za który pociągnie i wybawi go z potępienia, to nie zmienia faktu, że pozycja wyjściowa mordercy inna jest niż pozycja złodzieja. Inna jest pozycja mordercy, który w momencie końca świata ma na koncie kilka zabójstw, a inna tego, który dopiero co podnosi nóż! I ten, który ma na koncie kilka zabójstw, też kiedyś był dobry. Był dzieckiem, a dzieci są czyste jak łąza. Mógłbym podczas Sądu stanąć i zapytać: – Ojcze, dlaczego nie wzięłeś mnie, gdy byłem dzieckiem?

– Ale przecież ty miałeś możliwość wyboru! Człowiek instynktownie czuje, co powinien czynić, aby być dobrym. Bóg wsadził nas na szalupę, wypuścił na wzburzone morze, ale obdarzył mapą. Nasz problem, to jest problem twój, problem mój, a także problem innych złoczyńców, polega na tym, że patrząc na mapę i znając odpowiedni kierunek i tak zawsze płyniemy w odwrotną stronę.

– Ale czy ja w ogóle kiedykolwiek dokonałem wyboru podług własnej woli? Pierwszy raz ukradłem, bo byłem głodny. Żołądek – skurczony i piszczący jak zagoniona do kąta myszka – pokierował moją dłoń tak, że ta sięgnęła do sakiewki tłustego kupca. Zostałem zmuszony do kradzieży. Może to sam Bóg zesłał mi sakiewkę, poruszony losem tego odzianego w łachmany i pijącego wodę z kałuży młodzieńca, jakim wówczas byłem? Później zresztą miałem swój cnotliwy epizod, gdy Opatrzność zapewne próbowała zawrócić mnie ze złej drogi, o czym doskonale wiesz.

– Zbytecznie. Pokusa nie usprawiedliwia czynu. Nawet tyran zawsze wynajdzie racjonalny powód swojej zbrodni. Im trudniejsza rezygnacja z występku, tym ważniejszy

to czyn w oczach Boga. Może właśnie tak cię sprawdzał. Gdybyś głodny i zdesperowany utrzymał wtedy swe instynkty na wodzy, odwrócił się na pięcie i nie ukradł, byłoby to tym, czego Pan pragnął. My dwaj postawiliśmy w życiu na pokusy.

Nagle drzwi do karczmy otworzyły się. Powiew wiatru, który wpadł do środka, zgasił pozostałe na stole świece. Jasność nocy rozświetlonej przez księżyc w pełni położyła się na podłodze wraz z cieniem człowieka stojącego w drzwiach.

– Kim jesteś, przyjacielu? – spytał jeden z siedzących mężczyzn.

Przybysz nie odezwał się od razu. Zamknął za sobą drzwi i powłócząc nogą podszedł do stołu.

– Nazywam się Eliezer i jestem bardzo głodny.

*

Żołnierze ubrani w czerwone spodnie, w lekkich zbrojach, z kapturami z kolczastej plecionki i narzuconymi na nie łebkami, wyjątkowo i uroczyście lśniącymi – musieli je niedawno polerować – pojawili się w miasteczku o świcie. Chodzili od drzwi do drzwi, walili w nie pięściami i wołali w próżnię, sprawdzając, czy ktoś przypadkiem nie ukrywa się na terenie osady.

– Kurwy, jesteście tam? Wyłażcie, wy, kurwy. Jak znajdę jakąś kurwę, to ubiję! – można było usłyszeć. Co jakiś czas wtórował im wciąż pełniący wartę na wieży strażnik, wyraźnie podekscytowany ich zadaniem. Nie zwracali na niego uwagi, bo robił wrzawę zupełnie bez sensu, w żaden sposób nie pomagał, zapewne skupiony jedynie

na tym, aby ktoś go w końcu zauważył na tym smutnym i zapomnianym przez świat posterunku. Przyciągnął ich wzrok dopiero, gdy krzyknął:

– Tam widziałem jakąś kurwę! – Trzymał wyprostowaną rękę z palcem wycelowanym w jeden z budynków, starą karczmę, którą wcześniej już sprawdzili.

– Słuchaj, gnoju, jak robisz sobie żarty, to zaraz wejść tam do ciebie i, i... – Żołnierz nie skończył, bo wartownik złapał się za krocze, wykonując gest uznany powszechnie za obsceniczny, i ryknął śmiechem, wysokim, kobiecym, który, o czym niestety zapomnieli, nieraz był przedmiotem drwin.

– A niech mnie! Jak ta kurwa się śmieje! – wtrącił się rycerz.

– Mam tu za was zrobić porządek? – Strażnik nie odpuszczał. – Widziałem człowieka. Tam! – Właściwie to nie był pewien, czy widział cokolwiek, może jakiś ruch okiennicy albo ptaka, ale bawiło go to dyrygowanie z góry.

Żołnierze niechętnie ruszyli we wskazanym przez niego kierunku, lecz wciąż niczym polujące sokoły groźnie wpatrywali się w wieżę, jakby chcąc podkreślić, że strażnika spotkają przykre konsekwencje, że bardzo, bardzo pożałuje, jeśli rada okaże się nieprzydatna.

Po dotarciu na miejsce powtórzyli rytuał. Walenie w okiennice. Kopanie w drzwi. Wyzywanie od kurew. Już mieli odejść, jeden z nich zdążył nawet pogrozić wartownikowi pięścią, lecz nagle wejście do domu stało się otworem. Strażnik wychylił się przez barierkę, wstrzymał oddech, nie chcąc przegapić ani sekundy, ani choćby najdrobniejszego dźwięku z tego tajemniczego misterium, bo czuł, że owego dnia świat zaplanował dla nich gorzką niespodziankę.

Wnętrze budynku spowite było mrokiem. Nawet drzwi otworzyły się jakby same z siebie, przypuszczalnie pchnięte od środka przez kogoś, kto od razu zniknął z pola widzenia. Żołnierze z mieczami przygotowanymi do walki zbliżali się do niewiadomego. Niewiadome wnet wydało z siebie dźwięk – znany im aż za dobrze – który wyfrunął z chaty jak spłoszony nietoperz. Naciąganie cięciwy. Jeden żołnierz padł na ziemię. Naciąganie cięciwy. Drugi padł na ziemię.

– Co wy, kurwy, wy, kurwy... – szeptał strażnik i powoli cofał się w głąb wieżyczki, jakby za chwilę miał zniknąć.

Nie był to zatem ani ruch okiennicy, ani ptak, ale faktycznie jakiś intruz. Wartownik przeklinał własną niefrasobliwość, wściekły z powodu problemu, który niechcący zwałił sobie na głowę. Już dawno mógł stamtąd uciec, zostawić to przekłete miasto, bo i tak nikogo nie obchodziło.

Leżał nasłuchując, ale wciąż bał się wychylić. Musieli wiedzieć, że siedzi na górze. Podciągnął się do krawędzi podestu, gdzie, zerkając przez szczelinę między deskami, chciał rozeznąć się w sytuacji. Przy ciałach rycerzy dojrzał ruch. Choć pole widzenia miał bardzo wąskie, doliczył się dwóch mężczyzn, jednego chłopaka i jednej kobiety. Jego uwagę zwróciła pomalowana na czarno kusza, którą tajemniczy przybysze przekazywali sobie z rąk do rąk, gdy na zmianę kucali i grzebali przy zbrojach swoich ofiar. Kiedy już z tym skończyli, zadarli głowy do góry, wpatrując się w jego kryjówkę. Największy oparł pięści o biodra, jakby miał spytać – no i co teraz?

*

– Piękny jest ten świat bez ludzi. Nie wiem, czy czujesz to samo, ale kiedy ja patrzę na te zgięte w pól, mizerne sylwetki, które grzebią w polu, które przedtem same zryły, to widzę nędzne pasożyty. Nie potrafię wyzbyć się wrażenia, że człowiek po prostu nie pasuje do krajobrazu. Jest wobec niego elementem obcym. Sarenki, króliki, ptaszki, strumyczki, kwiatuszki, drzewka – wszystko to idealnie wtapia się w pejzaż, jakby było tu od zawsze. – W kącikach ust zbierała mu się biała piana. – No patrz na tego chociażby... – Mężczyzna wskazał skinieniem głowy chłopca niosącego na plecach wiklinowy kosz. – Niby stworzony na podobieństwo Boga, a to dziwoląg z przydługimi kończynami i głową jak żołędź, idzie obolały po całym dniu znoju. Kaszle, chrząka, śmierdzi, no obrzydliwy jest po prostu. Obserwuj jego ruchy. Zaraz się wywróci, jakby był spętany ograniczeniami własnego ciała. O, do tego trzęsie się i dyszy – ależ przykry spektakl! Gdzie gracia, jaką mają zwierzęta? Niektóre od razu po urodzeniu potrafią chodzić, a zanim człowiek się tego nauczy, to zdążył spłodzić i sprowadzić na świat kolejnego. Dziecko samo nie przeżyje nawet godziny! Po co w ogóle takie istnienie? A dorosły? Żeby przetrwać, musi ciągle pracować. Urobiony jest po same pachy. Pot się z niego leje, mięśnie wędną, a skóra staje się pomarszczona jak na wyschniętej śliwce. Daję głowę, że natura nie zdążyła przygotować dla nas miejsca. Spadliśmy na nią powołani do życia jakimś bliżej nieodgadnionym aktem woli, kaprysem Pana Nieba i Ziemi, no i proszę – oto jesteśmy, dajcie przestrzeń, żebyśmy mogli ją zniszczyć.

*

– Ja jestem Walter, mojego towarzysza zwą Ruland, a ten śpiący tu kretyn – Walter kopnął w stółek drzemiącego chłopaka, aż ten podskoczył i powstał – nie ma imienia, ale mówimy na niego Pies.

– Słucham? – Pies uśmiechnął się zakłopotany.

– I kiedy usłyszysz, że Pies mówi: „Słucham?”, to nie powtarzaj, co mówiłeś, bo on na pewno usłyszał, tylko daje sobie czas na zrozumienie. Jego umysł jest w opłakanym stanie, oj, biedny chłopak. Jak go spotkaliśmy, to siedział nagi w rowie i obgryzał kość. Już wiesz, skąd ten przydomek – kontynuował Walter.

– Eliezerze, proszę, usiądź z nami. – Ruland odsunął krzesło, zapraszającym gestem wskazał wolne miejsce i skinieniem głowy przywołał Psa. – A ty leć po chleb dla naszego gościa. Sierota i tak nie ma pojęcia, co do niego mówię. Zobaczymy, jak się zachowa.

– Słucham? – Pies spuścił głowę, chwilę patrzył na swoje stopy szczerząc zęby, a później odwrócił się i odszedł do ciemnego kąta izby, gdzie leżała sterta łachmanów.

Eliezer łapczywie pochłaniał chleb, a reszta przyglądała mu się w milczeniu. Ze swoją mizerną brodą, z płatami gołej skóry, wklęsłymi policzkami i oczami zapadniętymi w głąb głowy, sprawiał wrażenie człowieka, którego wygląd przegonił wiek. Jego bieda musiała trwać dłużej niż plaga i z pewnością wynikała z ogólnej kondycji życiowej, a nie chwilowych okoliczności. Walter zmrużył powieki, zmarszczył czoło i zastygł w skupieniu, wypuszczając spojrzenie niczym strzałę, która miała przeszyć Eliezera. Ten aż przestał jeść i pytająco podniósł wzrok. Wtedy Walter rozluźnił mięśnie twarzy, a jego usta uniosły się w ledwie dostrzegalnym uśmiechu.

– Jesteś Żydem, prawda? – spytał.

հԷՈՄԵՐ